

# Marek Sołtysik

---

## Z tajemnic domu Mickiewiczów

---

Palestra 50/11-12(575-576), 132-134

---

2005

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Z tajemnic domu Mickiewiczów

W Krakowie spoczywają doczesne szczątki Mickiewiczów, ojca i syna. Adam Mickiewicz w krypcie z królami na Wawelu, Józef Mickiewicz, zwany Zizi – na małowniczym cmentarzu Salwatorskim. Ojciec na wzgórzu nad Wisłą. Także nad Wisłą, na innym wzgórzu – najmłodszy syn.

Życie Józefa, tego uroczego, choć o niełatwym charakterze, pełnego talentów człowieka toczyło się poza bezpiecznymi koleinami stabilizacji. Podobnie po śmierci: pochowany, zgodnie z ostatnią wolą, na cmentarzu Ivry-sur-Seine pod Paryżem (żeby znalazłszy się „w państwie kretów”, być znowu blisko tam spoczywającej swojej największej miłości, młodo zgasłej „prostej – jak pisał – córki ludu”), potem został ekshumowany i złożony obok córki Germaine na cmentarzu w Montmorency, by po ponad czterdziestu latach od śmierci spocząć 12 stycznia 1979 r. w Krakowie.

Ewa K. Kossak w porywającej opowieści biograficznej „Rodzina M.” (Warszawa 1991) dotarła do poprzysypywanych źródeł. Odgarniając efekt wysiłków Władysława Mickiewicza, włożonych w utrwalanie jedynie słusznego obrazu pamięci Wieszcza – pisze o tym trzecim pogrzebie syna poety, fizycznie najbardziej podobnego do Adama Mickiewicza: „Staraniem zięcia Józefa, wdowca po jego córce, podpułkownika inżyniera Kazimierza Krzyżaka, i przy pomocy czynników oficjalnych (...) obok ojca złożono szczątki jego córki Germaine Mickiewicz-Krzyżakowej. Czy takie było życzenie Józefa? Czy zięcia, którego nie znał? Czy tylko Marii Falkenhagen-Zaleskiej, która marzyła, żeby choć jeden syn poety osiadł na Polskiej ziemi?”

Pada nazwisko Marii Falkenhagen-Zaleskiej. Kto to jest ta pani? To córka pisarza Józefa Korzeniowskiego (autora mądrej powieści „Kollokacja”), wytworna dama, która wraz z małżonkiem, Piotrem Falkenhagen-Zaleskim (wujkiem Jarosława Dąbrowskiego) zajmowała się wychowaniem najmłodszego syna Wieszcza. Po prostu: dała mu dom. W tym miejscu zawiązuje się intryga i całkiem wyraźnie dotykamy dramatu Józefa Mickiewicza. Ledwie chłopiec ukończył cztery lata, został przez ojca wyprowadzony z domu pełnego rodzeństwa i oddany tym zacnym ludziom,

świetnie sytuowanym, lecz już bez nadziei na własne potomstwo (dwaj ich synowie zmarli w niemowlęctwie).

Dlaczego spośród szóstki rodzeństwa tylko on? Poszeptowano, że urodził się on wprawdzie w mieszkaniu Mickiewiczów (20 grudnia 1850 r. na przedmieściu Paryża, w Battgnolles, 42 rue de la Santé), ale nie z metrykalnej matki, Celiny, legalnej żony Adama Mickiewicza, lecz z rezydującej tam przyjaciółki pana domu, Xawery Deybel, tak jak i on wyznawczy ni idei Towiańskiego. Najbardziej zainteresowany nigdy nie dowie się prawdy. Jego słuch idealny jednakże, całe życie oprócz innych obowiązków wypełnione aktywnością muzyczną, znakomite opanowanie fortepianu, wszystko to powinno utwierdzać raczej, że talent odziedziczył po wielkiej pianistce, Marii Szymanowskiej, babce ze strony oficjalnie uznawanej matki, Celiny z Szymanowskich Mickiewiczowej.

Sam Adam Mickiewicz, od niedawna bibliotekarz zbiorów paryskiego Arsenалу, wyprowadził z nowo przydzielonego mieszkania służbowego w Arsenale swojego wesolutkiego Józia. Chłopiec, pod wrażeniem śmierci matki (Celina Mickiewiczowa zmarła 5 marca 1855 r. w wieku 43 lat), opuszczał dom, ufny słowom ojca, który zapewniał, że po powrocie z wyprawy na Wschód zabierze synka do domu. W niecałe dziewięć miesięcy potem Józef Rafał dowie się, że jest już sierotą.

Mijały lata. Władysław Mickiewicz, najstarszy z braci (w roku śmierci rodziców miał 17 lat), aktywna głowa rodu, z niepokojem i zawsze jakoś bez sympatii spozierał w stronę najmłodszego z rodzeństwa. Dopóki nie kolidowało to z planami i interesami Władysława, Józef mógł dzięki możliwym i kochającym go opiekunom korzystać z uroków życia. Zanim, rozpieszczony, stał się młodym człowiekiem nieznośnym i trzeba go było oddać do pensjonatu, podróżował. Z Falkenhagen-Zaleskimi bawił na Lazurowym Wybrzeżu, w Rzymie, zwiedzał Szkocję, z podróży pisał listy na papierze z własnym wydrukowanym monogramem; strojony, obfotografowany, w końcu już nie wiedział, czego chce, toteż i rodzeństwo, które niekiedy łaskawie odwiedzał, doszło do wniosku, że od tego dobrobytu przewróciło mu się w głowie (podaje za Ewą K. Kossak).

Józio marniał w Warszawie przy ul. Świętojerskiej, w owym pensjonacie, a ściślej w dużym zakładzie wychowawczym dla dzieci ziemiańskich oraz ze sfer stołecznych, z czteroklasową szkołą (prowadzonym przez jego przyrodnią ciocię, Anielę Leszczyńską z Szymanowskich). Jego poetyckie porównania tam nagle brali za mędrkowanie. Tamże poważnie zachorował; kto wie, czy do zagrażającego życiu zapalenia płuc, a potem mózgu, nie przyczyniła się świadomość coraz większych niesnasek między ciotką a opiekunami; jedna i druga strona uzurpowały sobie prawa, jak by to powiedzieć, własności... Wreszcie dwunastolatek, za sprawą energicznych działań brata Władysława (który się właśnie żenił i pochopnie obiecał Józiowi drugą matkę w osobie własnej żony), rozdzierany przez „najbliższych”, został „podebrany” przez rodzeństwo. „I któż był za to ukarany? – pisała do Józefa u schyłku życia do końca serdecznie go wspomagająca Falkenhagen-Zaleska – Nie ci, którzy przez interes lub z innych powodów starali się Ciebie od nas odebrać, ale Ty, biedny sieroto...”

W myśl przepisów kodeksu Napoleona – jak pisze Ewa K. Kossak – nie dość tego, że „powierzenie dziecka przez umierających rodziców wybranym opiekunom z istoty tego aktu miało moc prawną”, to jeszcze „sierocie po osiągnięciu szesnastego roku życia przysługiwał wybór opiekunów”. Nikt nie wie, do jakich Władysław Mickiewicz uciekł się sposobów i intryg, żeby zupełnie odwieść najmłodszego brata od spotykania się z chcącymi go adoptować Falkenhagen-Zaleskimi, w każdym razie doprowadził do tego, że ten, działając ewidentnie na własną szkodę, stracił bardzo dużo.

Mało tego – Józef nie skorzystał ze swej części spadku (zrzekł się na rzecz tworzenia Władysławowej poronionej Księgarni Luksemburskiej), wreszcie pełnoletni, mając 21 lat postawił na jedną kartę: całkowicie zerwał z rodziną. Jak miał się nie stać materiałem na mizantropa, po tym, gdy się dowiedział, że Władysław, któremu tak ufał, w tajemnicy sprzedaje rękopisy i pamiętki po Ojcu?!

Józef Mickiewicz odsunął się, żył własnym życiem, bez środków i bez oparcia, musiał „zdobywać doświadczenie, tłukąc się o wszystkie ściany” – jak pisał do Falkenhagen-Zaleskich (którzy śledzili los kochanego wychowanka i w końcu z apanażami potrafili go wytropić nawet w mysiej dziurze). Nazywany odludkiem i dziwakiem, choć z przekonania pacyfista, specjalnie trwał w ogniu walk Komuny Paryskiej, studiował chemię w l'École Pratique des Hautes-Études, stale paraf się dziennikarką, drukując i w prasie brukowej (z tekstów najniewinniejszych „Diaboliczne historie o kobietach”), i opracowując obszerne hasła do Larousse’a (m.in. hasło „Polska” w *Wielkim Słowniku XIX w.*). Żył w pokoiku przy 21 rue Rollin, wchodził w rozliczne związki uczuciowe z kobietami z rozmaitych warstw społecznych, pracował zarobkowo w podlegającym prefekturze Zarządzie Głównym Towarzystwa Dobroczynności. Dzień w dzień stykał się z nędzą, biedą, próbował zapobiegać ludzkim upadkom. Z czasem stał się działaczem emigracyjnym w Instytucie Czcii i Chleba. A poza tym... ten aktywny członek Francuskiej Ligi dla Obrony Praw Człowieka i Obywatela przygrywał tu i ówdzie na fortepianie. Niekoniecznie się potem przebieierał i niekiedy wyszedłszy z występu paradował po Paryżu w stroju rococo.

W roku 1909, pod sześćdziesiątkę, przeszedł na emeryturę i został ojcem. Uznał córkę, Germaine, ze związku z dwudziestoosmioletnią przyjaciółką, Louise Froment. Mieszkał osobno, jak kawaler. Ślub dopiero w roku 1920 (spekulowano, że na wieść o śmierci żony, poślubionej w 1900 i rychło opuszczonej, z którą miał pono potomstwo). Żył nadal jak chciał, emerytura wystarczała na utrzymanie nowej rodziny, regularnie przygrywał na pianinie w kinach, robił to, jak twierdził, dla przyjemności. Wszak muzyka była dla niego azylem. Umarł w roku 1938, mając lat 88, w Calvadosie, dokąd żona i córka wywiozły go na kurację. Pogrzeb miał skromny, świecki, zgodnie z ostatnią wolą.

Autorka „Rodziny M.” zastanawia się, czy w pełnym czci nekrologu w polonijnym „Wiariusie Polskim” zakończenie sformułowano niezręcznie, czy może właśnie celowo: „Odszedł ostatni z naturalnych [sic!] i bezpośrednich spadkobierców wielkiego wieszczaka...”